

Yu Hua

Wencheng

przełożyła Katarzyna Sarek



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

WENCHENG

1.

W Xizhen mieszkał pewien zamożny człowiek. W pobliskim Wanmudang miał ponad tysiąc mu¹ żyznej ziemi, którą, jak korzenie, przecinały strumyki płynące ku rzece; ryż i pszenica, kukurydza i bataty, bawełna i rzepak, trzcina i trawa, a także bambusy i drzewa pojawiały się i znikwały jak słońce, rozkwiatały nieprzerwanie przez cztery pory roku, każdego z trzystu sześćdziesięciu pięciu dni. Jego stolarnia słynęła w okolicy, a produkowane w niej najróżniejsze drewniane przedmioty – łóżka, stoły, krzesła, stołki, szafy, skrzynie, puzderka, balie i nocniki – trafiały do domów w promieniu stu li², robiono w niej także lektyki ślubne i trumny, które pojawiały się na drogach zawsze w asyście trąbienia suon.

Wzdłuż dróg lądowych i szlaków wodnych prowadzących z Xizhen do Shendian nie było nikogo, kto nie słyszałby o wielkim bogaczu Lin Xiangfu, ale nie wiadano, skąd przybył. Jedyną wskazówkę stanowił jego silny akcent, dlatego sądzono, że pochodził z Północy. Mówiono, że zjawił się przed siedemnastoma laty – podczas wielkich mrozów wyłonił się ze śnieżycy i z niespełna roczną córką na rękach, chodząc od domu do domu, żebrał o mleko. Wyglądał jak niezdarne białe niedźwiedź, kołyszący się na śniegu i lodzie.

Prawie wszystkie karmiące wtedy piersią młode kobiety z Xizhen spotkały Lin Xiangfu i miały identyczne wspomnienie: przychodził do drzwi zawsze wtedy, kiedy płakało dziecko. Pamiętały jego pukanie, brzmiało tak, jakby uderzał o drzwi paznokciami, jeden cichy stuk, potem krótka przerwa i znów lekkie stuknięcie. Wciąż stał im przed oczami wyczerpany mężczyzna, który, jak

mówiły, wchodził do środka z miedziakiem na wyciągniętej dłoni. Załzawiony, z oczami, które trudno zapamiętać, zachrypniętym głosem mówił:

– Moja biedna, biedna córka, dajcie jej kilka łyków mleka.

Jego spierzchnięte usta wyglądały jak wywrócone na lewą stronę łupiny ziemniaków, a ręce pokryte były czerwonymi bliznami po odmrożeniach. Stał tak bez ruchu, z nieobecną twarzą, jakby przebywał w innym świecie. Kiedy dostawał czarzkę gorącej wody, wracał na ziemię i w jego oczach pojawiała się wdzięczność. Pytany, skąd przybył, wahał się chwilę i w końcu cicho mówił: „Shendian”. Było to miasto leżące około sześćdziesięciu li na północ, na skrzyżowaniu dróg lądowych i wodnych, znacznie zamożniejsze od Xizhen.

Trudno było uwierzyć w te słowa, ponieważ jego akcent brzmiał jak z odległej Północy. Nie chciał wyjawić, skąd przyszedł ani kim jest. Kobiety z Xizhen, w odróżnieniu od mężczyzn, interesowała też matka dziewczynki, ale gdy o nią pytały, twarz mężczyzny zastygała jak zimowy krajobraz wokół Xizhen, usta zaciskały się i nie rozchylały więcej, jakby to pytanie nigdy nie padło.

Takie było pierwsze wrażenie, jakie wywarł na nich Lin Xiangfu – pokryty śniegiem mężczyzna, z zakrywającymi twarz włosami i brodą, pokorny jak wierzba i cichy jak orna ziemia.

Pewien człowiek jednak wiedział, że mężczyzna ten nie przybył w czasie mrozów i śniegów, stało się to znacznie wcześniej, niedługo po tym, jak przez miasteczko przeszedł tajfun. Kiedy w tamten poranek Chen Yongliang, sztygar z kopalni złota na pobliskiej Zachodniej Górze, szedł sprawdzić szkody w swym

miejscu pracy, na opustoszałej ulicy miasteczka dostrzegł obcego. Sztygar wyszedł z domu, z którego wiatr zerwał dach, i zobaczył, że całe miasto spotkał ten sam los; być może dzięki wąskim uliczkom i gęstej zabudowie część drzew przetrwała, porzechylana w różne strony, ale na gałęziach nie został ani jeden liść – razem z dachówkami porwał je wicher – i Xizhen wyglądało jak ogolone na lyso.

Wtedy do miasta wszedł Lin Xiangfu, niosąc niemowlę w ramionach i mrużąc oczy od blasku wschodzącego słońca. Jego twarz zafrapowała Chena, ponieważ nie dostrzegł na niej rozpacz, która pojawia się po tragedii, ale wyłącznie ulgę. Gdy Chen był już blisko, mężczyzna zatrzymał się i z mocnym akcentem z Północy zapytał:

– Czy to Wencheng?

Chen Yongliang nigdy nie słyszał tej nazwy, pokręcił więc głową i odpowiedział:

– Nie, to Xizhen.

Chen zobaczył parę niemowlęcych oczu. Kiedy przybysz z zastanowieniem powtarzał: „Xizhen, Xizhen”, sztygar patrzył na dziewczynkę, którą niósł nieznajomy, jej lśniące czarne oczy rozglądały się z ciekawością, ale usta miała mocno zaciśnięte, jakby jedynie wyężdżając wszystkie siły, mogła być razem z ojcem.

Lin Xiangfu wyminął Chena, niósł na plecach gigantyczny toból. Płachtę zrobiono z utkanego na hałaśliwych krosnach z Północy surowego, grubego płótna, nie z południowego, cienkiego, z niebieskim wzorem; pożółkły materiał był upstrzony plamami. Chen Yongliang nigdy w życiu nie widział tak olbrzymiego bagażu – toból kołysał się na plecach rosnącego mężczyzny i wyglądał tak, jakby zapakowano do niego cały dobytek.

2.

Mężczyzna z Północy przybył z odległych o tysiące li stron, z terenów na północnym brzegu Żółtej Rzeki, gdzie pola sorga, kukurydzy i pszenicy zmieniały się zimą w bezkresne zagony żółtawej ziemi. Dziecięce i młodzieńcze lata spędził, biegając pomiędzy gęstymi łądogami, wyrósł pod niebem przesłoniętym liśćmi sorga; siedząc przy lampie naftowej i przesuwając palcami po liczydło podczas obliczania każdorocznych zbiorów, dorósł i stał się mężczyzną.

Lin Xiangfu urodził się w zamożnej rodzinie, jego ojciec był jedyną wykształconą osobą we wsi, matka – córką urzędnika z sąsiedniego powiatu i chociaż wtedy, kiedy przyszła na świat, jej rodzina miała już za sobą lata świetności, wyrosła na odcytaną dziewczynę, o bystrym umyśle i zręcznych dłoniach. Gdy Lin Xiangfu miał pięć lat, jego ojciec, doskonały stolarz, nagle zmarł. Właśnie skończył robić dziecięcy stolik i taboret, odłożył narzędzia i zawołał synka, ale przy ostatnim okrzyku imię dziecka zmieniło się w przeciągłe: „Aaa...”, przycisnął dłonie do piersi i osunął się na ziemię. Kiedy Lin Xiangfu stanął na progu warsztatu, na widok drgającego na ziemi ojca wybuchł śmiechem i śmiał się, dopóki nie przybiegła matka i nie padła na kolana z przeraźliwym krzykiem – dopiero wtedy rozplakał się ze strachu.

To było chyba pierwsze wspomnienie Lin Xiangfu. Kilka dni później zobaczył ojca leżącego nieruchomo na skrzydle drzwi, ciało przykryte zbyt krótkim białym płótnem i obie stopy ojca wystawały na zewnątrz. Mały Lin Xiangfu bardzo długo patrzył na te dwie bezkrwiste,

białe stopy i zauważył, że na jednej podeszwie otworzyła się blizna po starej ranie.

Matka w konopnych żałobnych ubraniach, których nigdy wcześniej nie widział, minęła go, niosąc oburącz miskę z wodą; doszła do bramy domostwa, postawiła naczynie na ziemi, siadła na progu i siedziała tak aż do zachodu słońca.

Ojciec zostawił synowi ponad czterysta mu ziemi, dom o sześciu pokojach, a także ponad sto książek w pudełkowej oprawie; szyte grzbiety niektórych egzemplarzy rozpadały się w rękach. Chłopiec odziedziczył po matce zamiłowanie do książek, pracowitość i zaradność; kiedy zaczął naukę czytania i pisania, przeniósł ostatnie dzieło ojca – stolik i taborecik – w pobliże krosien matki. Tkała i uczyła go; słuchając stukania warsztatu i jej łagodnych słów, przeszedł od *Księgi trzech znaków* aż do *Zapisków historyka* i *Księgi Hanów*.

W wieku trzynastu lat zaczął towarzyszyć zarządcy Tian Da podczas obchodów majątku i tak samo jak dzierżawiący jego ziemię chłopci chadzał po błotnistych miedzach, czasem razem z Tianem brodził przez zalane wodą pola ryżowe, więc kiedy wracał do domu i siadał obok warsztatu matki, wyglądał jak zwykły chłopski syn. Odziedziczył po ojcu talent do stolarki, od małego bawił się siekierą, heblem i piłą; gdy wchodził do warsztatu, zapominał o bożym świecie i przesiadywał tam godzinami. W okresach wolnych od prac w polu matka zawoziła go do stolarzy w sąsiednich wioskach, żeby uczył się od nich fachu; często zostawał u nich na miesiąc czy dwa, a przyuczający go majstrowie chwalili go za bystrość i zręczność, doceniali także wytrwałość i pilność, niespotykaną u paniczów z bogatych rodzin.

Gdy był dziewiętnastolatkiem, matka zachorowała. Nie miała jeszcze czterdziestu lat, a już dotarła do kresu życia; kilka dekad ciężkiej pracy i trudy wdowieństwa sprawiły, że jej twarz pokryły zmarszczki, a głowa posiwiała. Wtedy popatrzyła na syna tak, jak nigdy wcześniej, i widząc, że jest rosły, silny i podobny do męża, poczuła ulgę. Po powrocie z pola czy ze stolarni syn przysuwał stolik i taboret blisko kangu³, na którym leżała, przygotowywał pędzel, papier, tusz i kamień do rozcierania i otwierał książkę, gotowy do dalszej nauki. Był już wtedy uznanym stolarzem i ludzie kupowali wykonane przez niego stoły i krzesła, ale nadal używał mebelków, które wyszły spod ręki ojca. Przed oczami umierającej kobiety przewijały się obrazy, na których syn rósł pomiędzy malutkim stolikiem i taboretem, a pędzel w jego ręce stawał się coraz mniejszy i mniejszy. Na jej ustach pojawiał się spokojny uśmiech, jakby otrzymała nagrodę za całe ciężkie życie.

Ostatniego dnia dziesiątego miesiąca matka, która już nie mogła się ruszać, nagle obróciła się na bok i długo wpatrywała się w drzwi – wyglądała syna, jej wyciekające spojrzenie stopniowo gasło i pożegnaniem stały się jedynie dwie łzy w kącikach oczu, jakby lękała się zostawić syna samotnego na drodze życia.

Lin Xiangfu drugi raz zobaczył scenę podobną do tej, którą widział, gdy miał pięć lat – matka leżała na skrzydle drzwi przykryta kawałkiem własnoręcznie utkanego białego płótna. Ubrany w żałobne szaty wyniósł za próg domostwa czarkę wody i postawił ją na ziemi przed bramą, tak jak matka zrobiła czternaście lat wcześniej; usiadł na progu i siedział tam do zmierzchu, wpatrzony w krętą dróżkę, która prowadziła w dal, ku szerokiemu

gościńcowi, biegnącemu przez pustą ziemię, zasnutą dymami z kominów, aż do płonącego zachodem słońca horyzontu.

Trzy dni później Lin Xiangfu pochował matkę przy ojcu, z łopatą w ręku stał długo nad grobem, przy nim milczeli zarządca Tian Da i jego czterej młodszy bracia; stali tam razem aż do zmierzchu, wtedy Tian Da dał znak i wolnym krokiem poszli do domu. Lin otarł łzy i wrócił do rytmu dawnego życia.

Tak jak dawniej, codziennie o świcie wychodził z Tian Da na pola, sprawdzał, jak rosną zasiewy, gawędził z dzierżawcami, a czasem podwijał nogawki i pracował razem z nimi, bo potrafił robić na roli tak samo sprawnie jak oni. W wolnym czasie przesiadywał na progu, ale nie towarzyszył mu już stukot krosien, przestał również sięgać po zszywane na grzbietach książki. Po pięciu latach życia w samotności stał się milczkiem. W domu słychać było głosy jedynie wtedy, kiedy zjawiali się bracia Tian, aby porozmawiać o polach czy uprawach.

Późną jesienią Lin Xiangfu brał osła i wiózł do miasta gromadzone przez cały rok srebrne juany, wymieniał je na małą sztabkę złota w banku Juhe, potem kupował kupon lub dwa jedwabnej wzorzystej satyny i wracał do domu. Sztabkę wkładał do drewnianej skrzynki, którą odstawiał na półkę, a tkaniny chował do szafy.

Tak robiła matka. Gromadzenie złota zapoczątkowali przodkowie rodziny Linów, a jedwab miał się przydać przy ożenku syna. W ostatnich latach życia matka, ciężko już chora, wkładała do torby zawiniątko z tkaniną, z trudem siadała na osła, którego przytrzymał Tian Da, i ruszała zakurzoną drogą, kołysząc się na grzbiecie zwierzęcia.

Lin Xiangfu zapamiętał około dwunastu takich matczynych podróży; za każdym razem wracała bez jedwabiu, więc wiedział, że dziewczyna nie przypadła jej do gustu, ale zgodnie ze zwyczajem zostawiała jej podarek. Przekazywała osła w ręce czekającego na nią syna i ze zmęczonym uśmiechem mówiła:

– Nie zostałam na obiedzie.

Wtedy już wiedział – matka zjadłaby obiad, gdyby polubiła dziewczynę. Dlatego Lin Xiangfu przejął zwyczaj matki; gdy był w mieście, kupował zawsze jedwab jako prezent dla kandydatek na żonę.

Wielokrotnie odwiedzała go swatka, przedstawiała mu panny na wydaniu i chodził z nią w konkury do rodzin o majątku i pozycji równych jego, ale był niezdecydowany. Przyzwyczajony, że matka podejmuje decyzje, nie wiedział, jak sobie z tym wszystkim poradzić, a wspomnienia o jej powrotach z pustymi rękami sprawiały, że był jeszcze bardziej niezdecydowany i niepewny. Patrząc na każdą z dziewczyn, zastanawiał się, czy matka by ją polubiła. Kończyło się to tak, że nigdy nie zostawał na obiad, wręczał jedynie wzorzystą tkaninę.

Raz serce zabiło mu mocniej; pewna piękna dziewczyna z Liuzhuang, wsi leżącej trzydzieści li od jego domu, wywarła na nim głębokie wrażenie. Kiedy usiadł w pokoju gościnnym, a jej ojciec zaproponował mu tytoń, Lin Xiangfu chciał powiedzieć, że nie pali, ale wyraz twarzy swatki sprawił, że przyjął zaproszenie, i wtedy z pokoju obok wysunęła się piękna dziewczyna, ze spuszczoną głową podeszła do niego, nabiła mu fajkę, a następnie wróciła tam, skąd wyszła.

Lin Xiangfu wiedział, że to ona jest kandydatką na żonę; podczas przygotowywania fajki drżały jej ręce;

swatka kilka razy ją zagadnęła, dziewczyna nie zareago-
wała, ale kiedy spotkali się wzrokiem, rozbłysły jej oczy,
a Lin Xiangfu poczuł, że zawrzała w nim krew. Podczas
luźnej pogawędki był rozkojarzony, z trudem nadążał za
rozmową, a kiedy ojciec dziewczyny zapytał go, czy zo-
stanie na obiad, miał wielką ochotę się zgodzić, ale
zmienił zdanie, widząc spojrzenie swatki; po chwili wa-
hania wyjął zza pazuchy jedwab, zmieszany położył go
na stole, zaczerwienił się pod zdziwionym wzrokiem
ojca, pośpiesznie wstał i się pożegnał. W drodze powrot-
nej miał przed oczami piękną dziewczynę, zaskoczoną
twarz jej ojca i czuł się źle. Swatka wyjaśniła mu, dlacze-
go dała znak odmowy – bała się, że dziewczyna może
być głuchoniema. Powiedziała, że podczas nabijania faj-
ki kilka razy zażartowała z niej, ale tamta jakby nic nie
słyszała. Lin Xiangfu przyznał swatce rację, ale nie mógł
przestać myśleć o pięknej Liu Fengmei z Liuzhuang. Do-
piero po trzydziestu li, kiedy zobaczył ściany domu, ode-
chnął głęboko i poczuł się lżej.

3.

W ten sposób Lin Xiangfu tracił okazję do ożenku,
a gdy miał dwadzieścia cztery lata, w jego domu nagle
pojawiła się para – mężczyzna i kobieta, on w chabrowej
tunice ze stójką, ona w kwiecistym *qipao*⁴ i turbanie
z niebiesko-białej bawełnianej surówki, na plecach dźwi-
gali tobołki, stali przy bramie domu i rozmawiali tak
szybko, że słowa zdawały się fruwać.

O zmierzchu Lin Xiangfu usłyszał ich z dziedzińca; co
prawda nie rozumiał ani słowa, ale i tak otworzył bramę